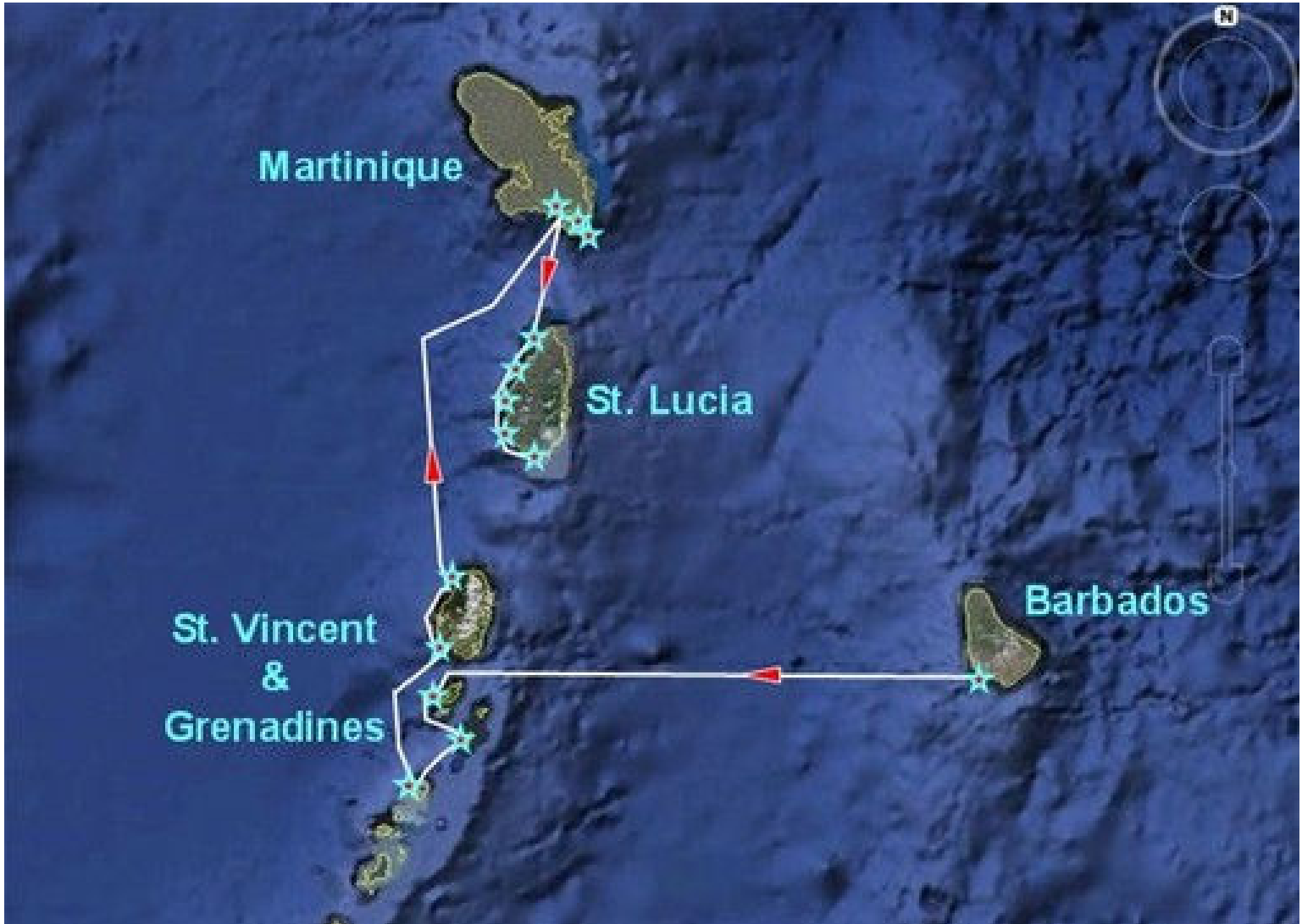


2010.01. 7 Wysp Karaibskich pod żaglami

Rejs katamaranem „Double Helix” w dniach od 12 stycznia do 1 lutego 2010

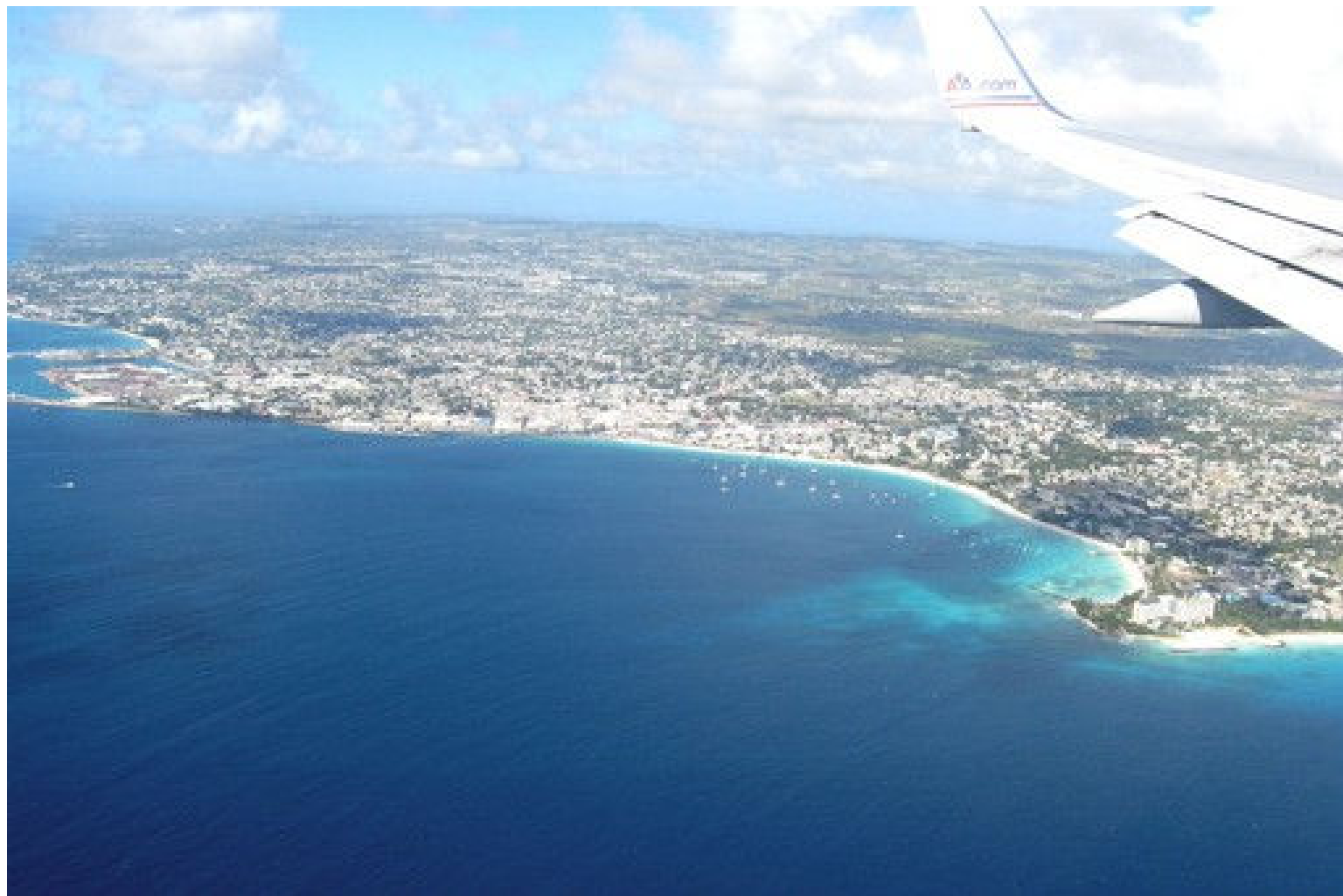


Wyspa Barbados dla żeglarzy płynących z Europy pasatową trasą przez północny Atlantyk jest pierwszą po przepłynięciu oceanu. Dla mnie wyspa ta też jest pierwszą, tylko, że po przyleceniu samolotem z Vancouver. Oddalona jest on 100 mil morskich od reszty wysp wschodnich Karaibów, co powoduje, że nie często docierają tutaj jachty żeglujące po łańcuszku tradycyjnie odwiedzanych wysp.

Wyspa ta jest bardzo ciekawa, ale dla żeglarzy nie jest zbyt gościnna. Na zawietrznym brzegu praktycznie nie ma miejsc gdzie bezpiecznie można zatrzymać się.

Główny port Bridgetown jest tylko dla dużych statków a jachty muszą wpływać tam tylko na odprawę graniczną, która kosztuje wyjątkowo drogo w porównaniu do innych wysp-państw karaibskich. Po odprawie nie można tam stać dłużej i trzeba od razu odpłynąć.

Mały porcik w centrum miasta Careenage Marina jest okupowany tylko przez katamarany i małe stateczki wożące turystów na krótkie pływania. Jest też inna mała marina i klub gdzie pomijając wysokie opłaty praktycznie nie ma miejsca.



Większość jachtów odwiedzających wyspę stoi na kotwicy w niezbyt dobrze osłoniętej zatoce Carlisle Bay. Na brzeg trzeba dopływać na dinghy, przez fale rozbijającej się o piaszczystą plażę albo za jedno... 20 \$ od osoby za dzień dobić do pomostu restauracji plażowej i wyjść suchą nogą.

Na lotnisku witają mnie Janek i Ewa Pietrzak właściciele katamarana „Double Helix”, 45 stóp długości. Całą zimę czyli karaibski sezon, mieszkają oni na jachcie i pływają ze zmieniającymi się gośćmi a na lato mają wrócić do Vancouver. Poprzednia załoga, ich syn z żoną i dziećmi wyokrętowali się. Zdążyliśmy się jeszcze przywitać i pożegnać jednocześnie.

„Double Helix” mój dom na najbliższe trzy tygodnie buja się na kotwicy około 100 metrów od brzegu. Żeby dostać się na jacht trzeba sforsować przybój rozbijającej się fali. Trochę boje się, szczególnie o mój komputer w plecaku, ale przeprawa ta okazuje się bardzo prosta. Jedynie na wszelki wypadek mój bagaż wkładam do worków plastikowych.

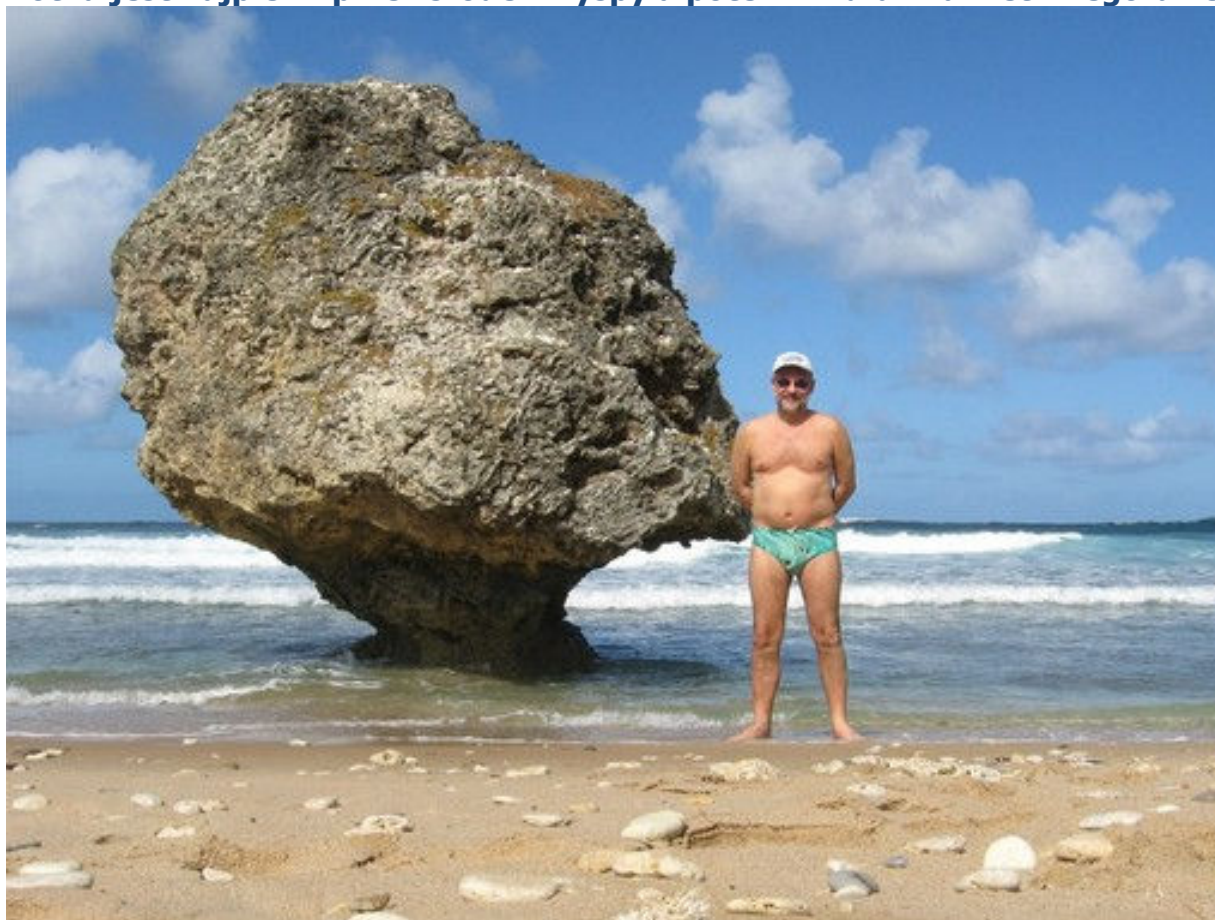
Barbados jest nie gościnny dla żeglarzy patrząc od strony wody, ale od strony lądu jest bardzo przystępny. Między innymi jest tutaj bardzo dobrze rozwinięty i tani system komunikacji autobusowej.

Na drugi dzień jadę autobusem na wycieczkę dokoła wyspy. Obserwuje plaże, które z tej strony wyspy nie wyglądają imponująco, hotele, małe miasteczka i wioski zawietrznego brzegu wyspy. Na północnym cyplu wyspy w Animal Flower Cove zwiedzam groty wyżłobione w skałach.

Oceaniczne fale gnane pasatowymi wiatrami rozbijają się o brzeg i w taki to naturalny sposób zrobiły groty. W dawnych czasach odwiedzali je piraci karaibscy i chowali zrabowane skarby.



**Skarbów żadnych nie znajduje jedynie oglądam rozbijające się fale i ewentualnie mogę popływać w basenach stworzonych przez naturę, ale brakuje czasu i jadę dalej.
Droga powrotna jest najpierw przez środek wyspy a potem wzdłuż nawietrznego brzegu wyspy.**



Oglądam długie piaszczyste plaże, na których rozbijają się z hukiem oceaniczne fale, które wypłukują od dołu nadbrzeżne skały i w ten sposób powstały ciekawie wyglądające grzybki skalne.



Główne miasto i stolica Bridgetown jest gęsto zaludnione. Widać duży ruch, małe sklepiki i stragany na ciasnych ulicach. Budynki rządowe w stylu kolonialnym i dookoła wyłącznie czarni mieszkańcy potomkowie niewolników sprowadzonych przez kolonialistów brytyjskich. Po dwóch dniach zwiedzania i drobnych zakupach prowiantowych rozpoczynamy rejs.



Na odprawę graniczną musimy wpłynąć do portu. W cieniu olbrzymich statków pasażerskich „Double Helix” wygląda jak mała miniaturka.

Wieczorem przed zachodem słońca opuszczamy port. Kurs na odległą o 100 mil morskich Wyspę Bequia w archipelagu wysp St. Vincent & Grenadines.

Wiatr pasatowy jak staliśmy na kotwicy dobrze nam wiał a jak teraz wypływamy to jak na ironie losu cisza.

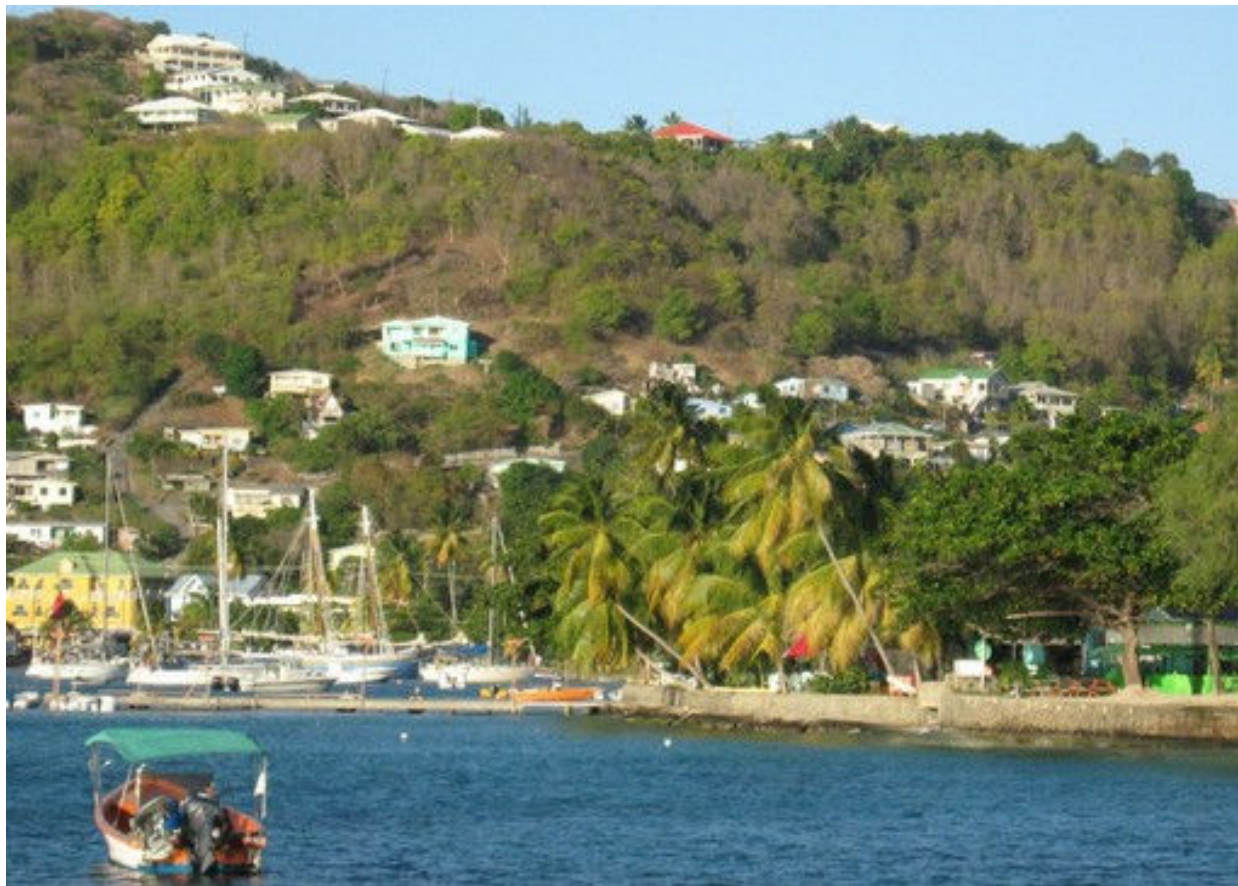


Dopiero po oddaleniu się od wyspy łapiemy podmuchy wiejące korzystnie od rufy.

Nad ranem piękny wschód słońca i latająca ryba na siatce pomiędzy kadłubami, ale za mała żeby ją usmażyć.



O godzinie 13:45 rzucamy kotwice w malowniczej zatoczce Admiralty Bay na wyspie Bequia. Katamaran "Double Helix", na którym żeglujemy bardzo ładnie pozuje do zdjęcia.



Dopływamy na dinghy do jednego z wielu pomostów w głównym miasteczku Port Elizabeth. Robimy odprawę graniczną i oficjalnie jesteśmy już w państwie St. Vincent i Grenadines. Na samym brzegu jest pełno restauracyjek, sklepików i małe gościnne hoteliki. Bardzo sympatycznie to wyglądało i widać, że jest to miejsce nastawione na goszczenie żeglarzy, odwrotnie niż Barbados. Ceny żywności a szczególnie jarzyn i owoców wyjątkowo wysokie. Dobrze, że nic nie potrzebujemy i kupujemy tylko lody, które w tym upale wyjątkowo dobrze smakują.



Rano kotwica do góry i kurs na malutką pobliską wyspę Mustique.



Wyspa ta słynie z tego, że mają tutaj domy i często mieszkają gwiazdy filmowe oraz milionerzy, dlatego nazywamy ją „Wyspą Milionerów”.



Chcemy udawać i spróbować być milionerami.



Niestety nie udaje się, bo zaraz przy pomoście, do którego dopływamy na dinghy jest tablica z cenami za kotwiczenie: Jachty do 70 stóp długości opłata 200 dolarów wschodnio karaibskich, czyli ok. 80 \$ USA.



Rezygnujemy z bycia milionerami i tylko robimy wspólne zdjęcie całej załogi na tle zatoki.



Szybko zwiedzamy wysepkę i w miejscowym sklepie pod palmami nic nie kupujemy, ale za to robimy dużo fotografii.

Po dwóch godzinach ruszamy i po krótkim płynięciu rzucamy kotwice w Charlestown Bay na Wyspie Canouan.



Na brzegu jest bardzo elegancki hotel, z którego oglądać można ładny widok na całą zatokę i długi pomost dla dinghy.



Miasteczko jest położone bardzo malowniczo.



Moją uwagę zwraca to, że prawie przy każdym domu są instalacje do zbierania wody deszczowej. Z rynien jest odprowadzenie wody do dużych zbiorników. Jest to główne zaopatrzenie w wodę słodką dla całej wyspy, która jest bardzo mała i nie ma rzek i naturalnych zbiorników. Lokalny „woziwoda” pływa po zatoce na małej łódce i oferuje potrzebującym żeglarzom deszczówkę z takiego dużego zbiornika, który lewo mieści się na łódce. Cena jest wysoka, więc nie korzystamy i jak zwykle staramy się na jachcie oszczędzać słodką wodę. Dla odmiany, słonej wody w morzu nie brakuje i jest wyjątkowo czysta, widać dno na głębokości kilku metrów.



Pływanie w takiej wodzie to największa przyjemność. Trochę myślę o rekinach, które żyją w tych wodach, ale bardzo rzadko słysząc o wypadkach atakowania ludzi. Zastanawiam się czy to bardziej polityka nie informowania żeby nie straszyć turystów czy faktycznie jest tak małe ryzyko. Obojętnie jak jest naprawdę nie odmawiam sobie przyjemności, pływam dookoła jachtu i wzdłuż pięknej pustej plaży.



Na plaży spotykam miejscowego rybaka z kuszą do polowania pod wodą. Dobrze, że nie nurkowałem blisko jachtu gdzie pływałem, bo zamiast rekina ja mogłem być ustrzelony przez niego.

Następnego dnia rano po śniadaniu płyniemy 35 mil na główną wyspę tego państwa St. Vincent. Kotwiczymy w zatoce obok wysepki Young Isl. W pobliżu stolicy Kingstown. W mieście tym widać bardzo dużo kontrastów.



Na wzgórzu skąd jest piękny widok na zatokę są ładnie zadbane domki bogatszych mieszkańców. Można to odróżnić po solidnej budowie i dachach wykonanych z dobrych materiałów.



Blżej centrum widać biedne domki z dachami z blach falistych. Niektóre wyglądają jak szałas do mieszkania między kolejnymi huraganami okresu letniego. Dachy są najbardziej narażone na zniszczenia przez regularnie przechodzące nad Karaibami Huragany.

Z kolei w centrum przy nadmorskim bulwarze stoją solidnie wybudowane budynki głównie rządowe w stylu kolonialnym albo nowsze wykładane w całości marmurami. W mieście wielki tłok na ulicach. Szczególnie, kiedy wychodzą na ląd pasażerowie statków, które codziennie odwiedzają ten port. Podczas zwiedzania miasta w tym upalnym klimacie, bardzo smakuje orzeźwiające mleko z orzecha kokosowego.



Lokalny sprzedawca na miejscu otwiera orzech, daje słomkę do wypicia mleka a potem rozbija skorupę żeby wyskrobać białe wiórki kokosowe. W zatłoczonym miasteczku całe życie odbywa się na ulicy.



Fryzjer cały swój warsztat ma na stoliku w małej walizeczce i pracuje na chodniku gdzie obijają się o jego business przechodnie.

Wieczorem obok nas rzuca kotwice katamaran wyczarterowany na Martynice przez polską załogę z Poznania. Zaprosili nas i wspólnie miło spędzamy czas popijając nalewkę prosto z Polski.



Rano żeglujemy wzdłuż zawietrznego brzegu wyspy St. Vincent. Wpływamy do Zatoki Chateaubelair i chcemy rzucić kotwicę jak najbliżej pomostu, ale okazuje się, że jest zbyt głęboko, dokoła dużo bojek i małych łódek. Z trudem uciekamy z tego miejsca. Uczynny lokalny przewodnik wskazuje lepsze miejsce, płynie na swojej łódce, czyli kadłubie starego windsurfera bez żagla tylko wiosłuje jednym wiosłem i pilotuje nas.



Po zakotwiczeniu od razu oferuje dalsze usługi przewodnika i bardzo szybko rozgascza się u nas na jachcie. Pokazuje swoje zdjęcie w książce-przewodniku dla żeglarzy, który mamy na

jachcie. Wygląda on bardzo sympatycznie a to, co oferuje jest bardzo rozsądne. Umawiamy na jutro wycieczkę, żeby nas poprowadził na szczyt pobliskiego wulkanu. Za chwilę mamy następnego gościa na pokładzie.



Młody chłopak George, uczy Janka jak dobierać przynętę na ryby i łowić rzucając samą żyłkę bez wędki. Wynik jest natychmiastowy. Najpierw jedna rybka, ale trochę za mała do smażenia. Za chwilę jest większa gotowa na patelni.



Miasteczko Chateaubelair wygląda bardzo biednie i nie widać żadnych turystów.



Kiedyś częściej wpływały tutaj jachty, ale dwa lata temu zdarzyło się, że miejscowi złodzieje „piraci” podpłynęli w nocy i weszli z maczetami na jacht. Okradli i pobili żeglarzy. Informacja ta podawana jest w przewodnikach dla żeglarzy jako przestroga. Pytam naszego przewodnika o to wydarzenie. Potwierdza, ale dodaje, że teraz policja dobrze pilnuje i główny sprawca siedzi w więzieniu. Na następne moje pytanie, co z jego współnikami od rozboju, nie dostaje zadowolającej odpowiedzi.

Żeglarstwo samo w sobie jest ryzykiem, więc staramy się nie myśleć tak źle. Na wszelki wypadek na noc dobrze zamykamy wszystkie wejścia na jacht.

Rano ruszamy na wycieczkę na „La Soufriere Volcano”. Przewodnik mówi, że droga na górę zajmuje dwie godziny. Nie zaglądamy na mapę i nie sprawdzamy wysokości szczytu nad poziom morza.

Na początku droga prowadzi przez wioskę i oglądamy lokalny folklor.

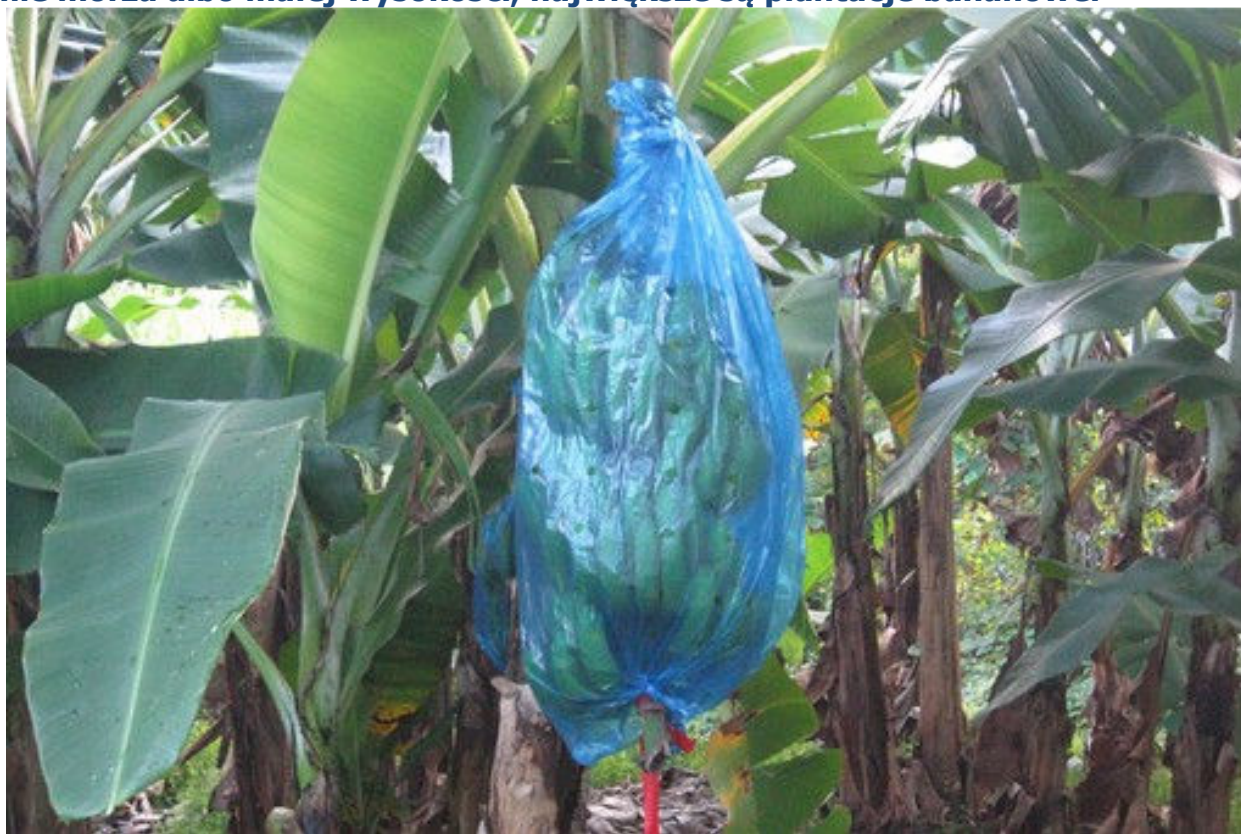


Kobiety noszące towary w koszach na głowie. Dzieci idące do szkoły w ładnych i czystych mundurkach, aż trudno uwierzyć, że w tak gorącym klimacie i ograniczeniach z wodą można tak dbać o ubiór dzieci i młodzieży szkolnej.

Po drodze mijamy plantacje tropikalnych owoców.



Nasz przewodnik, co chwila schodzi z drogi i przynosi nam do spróbowania różne owoce. Na poziomie morza albo małej wysokości, największe są plantacje bananowe.



Owoce prawie dojrzałe i już gotowe do zrywania są przykryte workami plastikowymi dla ochrony przed szkodnikami i nadmiernym osuszaniem.

W wyższym rejonie, szczególnie w niedostępnych miejscach, nasz przewodnik pokazuje nam z daleka duże plantacje marihuany. Na St. Vincent jest to nielegalne, ale jak widać władze tego nie widzą a właściwie bardziej nie chcą tego widzieć. Przewodnik nie próbuje zejść z drogi i zerwać dla nas tak jak inne owoce, bo cała nasza załoga jest niepaląca i nie interesujemy się tym.

Może ci żeglarze napadnięci dwa lata temu mieli jakiś związek z tymi plantacjami, może podbierali trawkę? Nigdy nie dowiemy się tego i idziemy dalej pomimo coraz większego zmęczenia.

Po dwóch godzinach wspinania się do góry, nie widać końca trasy. Przewodnik zapewnia, że to już niedaleko itp. Dobrze już zmęczeni z przerażeniem czytamy napis stojący przy drodze: „połowa trasy”. Przez cały czas naszej maszerowania pod górę nie mijamy żadnych turystów. Wreszcie po ponad czterech godzinach cel uświęca środki i zdobywamy szczyt.



Widok ze szczytu jest imponujący. Zatoka, w której stoi "Double Helix" wygląda stąd bardzo odległa. Dziwimy się i jednocześnie dumni jesteśmy z tego, że przeszliśmy tak długą trasę.



Zagłębiliśmy do środka uspiętego krateru. Podziwiamy potęgę natury.

Jaką energię musi posiadać wulkan? Czujemy się bezsilni siedząc zmęczeni na samym szczycie. Okazało się później, że szczyt ten ma wysokość prawie 1300 metrów nad poziom morza i jak przyznał się nasz przewodnik nie wierzył, że dojdziemy, bo mało żeglarzy ma taką kondycję do chodzenia po górach. Wracając przez wioskę z dumą mówił i chwalił się, że doprowadził nas na sam szczyt.

Na jacht wracamy późno po czasie pracy urzędników i musimy zapłacić nadgodziny za odprawę graniczną, ponieważ nie chcemy czekać do rana. Czas nagli, bo na Martynice ma dołączyć do załogi moja żona Ela.

Wypływamy już po zachodzie słońca. W nocy mijamy prawa burta wyspę St. Lucia. Płyniemy ostro do wiatru i halsujemy przez prawie 90 mil.

O godzinie 12:30 kotwiczymy w miejscowości La Marin na południu Wyspy Martinique.



Jest tutaj olbrzymia marina, zapchana jachtami, głównie katamaranami firm czarterowych. Pomijając wysokie ceny praktycznie nie ma tutaj możliwości cumowania do pomostu.

Martynika jest terytorium francuskim. Walutą obiegową jest Euro i granicznie jest to formalne wpłynięcie do Unii Europejskiej. Nie ma żadnych opłat granicznych i praktycznie można stać tutaj bez ograniczeń czasowych. Jedyny problem to język francuski, ponieważ Francuzi nie chcą uczyć się i rozmawiać po angielsku. Uważają, że to inni powinni uczyć się ich języka, ale nikt z nas nie uczył się. Pomimo tego, ale często na migi można porozumieć się.

W marinie słyszymy słowiańskie języki. Duża grupa Słowaków oddaje właśnie 6 katamaranów, które czarterowali na tygodniowy rejs. Na innym jachcie spotykamy polską załogę, która też zakończyła rejs. Przedstawiamy się, że jesteśmy Polakami z Kanady, na co oni uśmiechają się i mówią, że jak pracowali kiedyś dla firmy kanadyjskiej w Polsce to nie żeglowali a teraz pracują dla Chińczyków, to stać ich na taki czarter.

Spotykamy też kilku Polaków, którzy pracują w marinie. Jako obywatele Unii Europejskiej mogą tutaj legalnie pracować i cieszyć się wspaniałym klimatem, bo Europa jest właśnie zasypana śniegiem.

Paweł i Justyna, młode małżeństwo mieszka na swoim jachcie zakotwiczonym obok mariny. Do swojej pracy dopływają na dinghy i nie potrzebują mieć samochodu. Znają dobrze okolice i

udzielają nam dużo potrzebnych informacji. Wieczorem zapraszamy ich na nasz jacht i miło spędzamy wieczór.



Nasza załoga powiększa się, bo przyleciała z Vancouver moja żona Elżbieta i dalej będziemy żeglować we czworo. Ewa przygotowała przywitalna smaczną kolację i nawet czerwony obrus na stole.

Na drugi dzień wynajmujemy samochód i całą czwórka jedziemy na wycieczkę dookoła wyspy. Na początek zatrzymujemy się w pobliskiej stolicy Fort de France. Jest to duże miasto gdzie widać olbrzymi ruch samochodowy.



Z trudem znajdujemy miejsce do zaparkowania blisko portu skąd jest ładny widok na tarasowo położone na zboczu góry, domy w kolonialnym stylu.



W starej części miasta, główną atrakcją turystyczną jest uliczka Rue de la Republique, gdzie widać duży ruch pieszy i typowy handel dla turystów.



Gra i śpiewa lokalny zespół muzyczny. Miasto i atmosfera w nim wygląda bardziej po europejsku niż folklor karaibski. Potem jedziemy na północ po zawietrznym brzegu wyspy.



Po drodze mijamy i zatrzymujemy się w małych malowniczych miasteczkach z ciekawą architekturą domków, w których są restauracyjki i sklepiki nad samą plażą.

W środku wyspy jest wulkan Montagne Pelee. Mając jeszcze na żywo w pamięci wspinanie się do krateru na wyspie St. Vincent, niezbyt mamy ochotę na następną wspinaczkę. Na szczęście do tego wulkanu można dojechać samochodem prawie na szczyt. Parkujemy samochód, ale czas nagli i nie dochodzimy do krateru. Zjeżdżamy w dół i wracamy do mariny po nawietrznym brzegu wyspy.



Mijamy piękne malownicze plaże dokładnie takie jak można oglądać w folderach reklamowych zachęcających do odwiedzania egzotycznej wyspy.

Po drodze zatrzymujemy się w lokalnym supermarkecie i robimy zakupy. Ze zdziwieniem widzimy, że na dużo produktów ceny są wyjątkowo niskie, taniej niż na biednej Wyspie St. Vincent, gdzie robiliśmy większe zakupy obawiając się europejskich cen na Martynice.

Zwalniamy trochę tempo rejsu i decydujemy na zwiedzenie innych miejsc na wyspie. Podnosimy kotwice i rzucamy ją ponownie w pobliskim zatoce Ste-Anne blisko pomostu w miasteczku o tej samej nazwie.



Cały dzień wygrzewamy się na piaszczystej plaży i oglądamy miasteczko.



Obok jachtu trenują i przepływają blisko lokalni żeglarze na ciekawej konstrukcji łodzi żaglowej.



Zwiedzamy miasteczko i wchodzimy na Górę Golgota, na którą prowadzi droga krzyżowa do kapliczki na szczycie.



Na szczycie robimy grupowe zdjęcie całej naszej załogi na tle widoku na zatokę. Wieczorem leżymy na siatkach naszego katamaranu i słuchamy muzyki granej w nadbrzeżnej restauracji. Jest to wspaniały koncert muzyki naszej młodości, ale tym razem słyszymy go pod tropikalnym niebem.

Następnego dnia znowu przenosimy się do następnej pobliskiej zatoczki Grande Anse des Salinas położonej na samym południowym cyplu Martyniki. Trochę tutaj buja, bo wchodzi do zatoki fala z otwartego oceanu. Kotwiczymy blisko brzegu, ale podmuchy wiatru pasatowego nie zachęcają do nocowania w tym miejscu.



Plaża tutejsza jest wyjątkowo piękna. Tropikalne palmy powyginane przez stale wiejący pasat.



Czysty i biały piasek skrzypiący pod nogami, z przyjemnością spaceruje wzdłuż długiej i szerokiej plaży.

Na noc wracamy do Le Marin, żeby rano zaliczyć odprawę graniczną. Formalnie opuszczamy terytorium Unii Europejskiej i żeglujemy na St. Lucia.

Niecałe 30 mil halsujemy pod wiatr i wpływamy do mariny w Rodney Bay na północy wyspy St. Lucia. Pierwszy raz w tym rejsie cumujemy do pomostu i zostajemy na noc. Tankujemy wodę i ładujemy nowo zakupione tutaj akumulatory.



Marina jest praktycznie małym miasteczkiem gdzie jest wszystko, co może być przydatne żeglarzom: sklepy, restauracyjki, banki, basen i różne firmy oferujące usługi dla jachtów. Wszystko jest bardzo zadbane i wygląda estetycznie.



Lokalne łódzie pomalowane są w bardzo ciekawie. Artystyczne obrazy na burcie.



Następnego dnia niecałe dwie godziny płyniemy do portu Castrie stolicy państwa St. Lucia.



Rzucamy kotwicę w porcie pomiędzy dużymi statkami pasażerskimi bardzo blisko bulwaru nadbrzeżnego, przy którym są budynki rządowe, banki i centrum handlowe. Jednego dnia stoją tutaj dwa statki a rano następnego dnia jest ich aż pięć. Każdy z nich średnio przywozi około półtora tysiąca pasażerów, jak wszyscy wyjdą do miasta to ciężko poruszać się w takim tłoku.



Pomiędzy tymi dużymi statkami pływa klasyczny żaglowiec rejoy, który wozi turystów, głównie pasażerów tych statków.



Bardzo ciekawie wygląda połączenie dwóch epok. Romantyka dawnego żaglowca pod dziobem nowoczesnego kolosa pasażerskiego.

Wyływamy z portu podczas deszczu, który jest nawet przyjemny, bo odświeża i ochładza rozgrzane ciało.

Dotychczas prawie nie było dnia bez deszczu. Dobrze jak pada w nocy a jeżeli w dzień to zwykle są krótkie przelotne deszcze, ale czasami zdarzają się nawet oberwania chmury, które praktycznie nie przeszkadzają w żeglowaniu. Taki jest ten karaibski klimat.



Znowu krótki przeskok do następnego miejsca, sławnej i bardzo rozreklamowanej na wyspie St. Lucia Zatoki Marigot Bay.



Wewnętrzna część zatoki zajęta jest bojami cumowniczymi a na brzegu jest marina gdzie stoją duże i drogie jachty. My rzucamy kotwice przed wejściem do wewnętrznej zatoki, na wyjątkowo małej głębokości, niewiele ponad jeden metr.



Można chodzić po dnie dookoła jachtu, podnosić łańcuch kotwiczny i ręką sprawdzać jak trzyma kotwica.

Nie potrzebna jest dinghy żeby dostać się na plażę na brzegu. Idę spacerkiem po dnie trzymając aparat fotograficzny w ręce opakowany w worek plastikowy, tzw. reklamówkę.

Po spacerze na plaży, zwiedzeniu hotelu i innych nadbrzeżnych atrakcji tą samą drogą wracam na jacht.



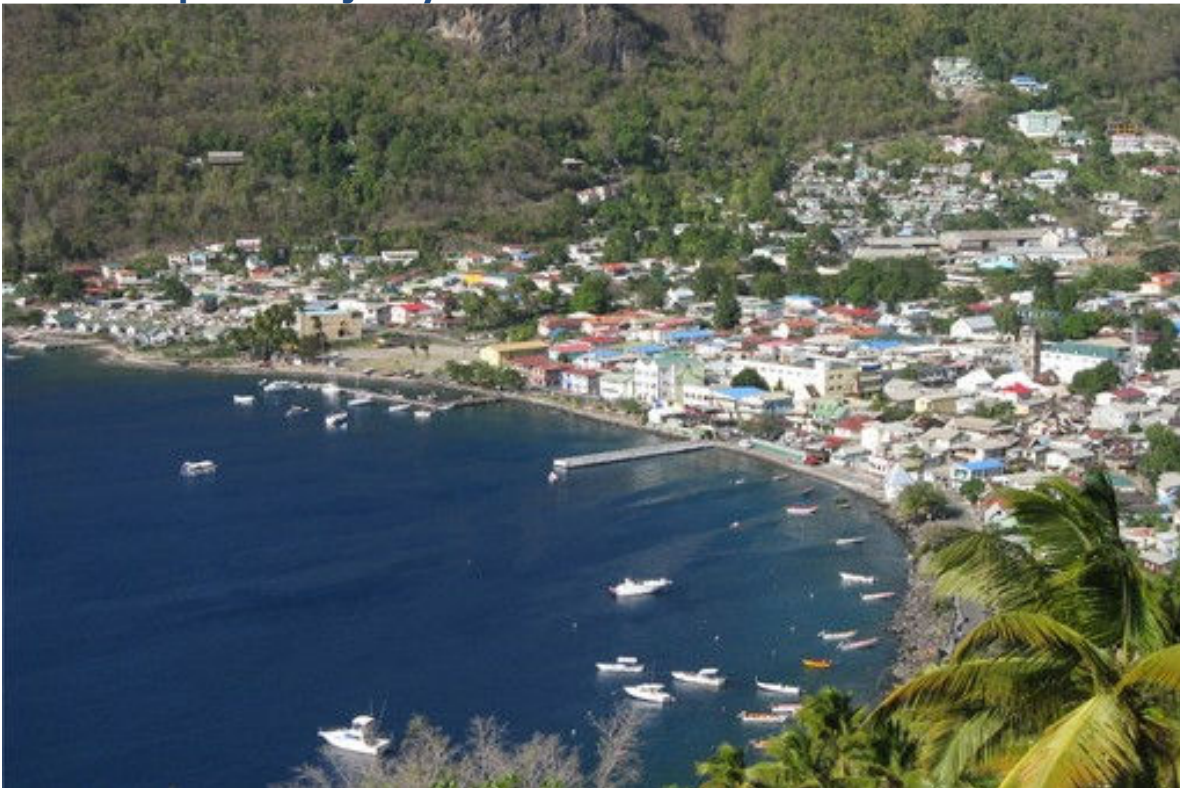
Po południu leżąc na jachcie jesteśmy świadkami ceremonii ślubnej odbywającej się na piaszczystej plaży.



Po tej atrakcji płyniemy tym razem na dinghy do mariny żeby obejrzeć okolice i stojące tam jachty.

Spotykamy następnych Polaków z Polski tym razem na własnym nowiutkim jachcie, ale pod bandera Wielkiej Brytanii. Taka mała „zabaweczka”, 72 stopy (22 m) długości za tylko... dużo ponad milion funtów brytyjskich. Kapitan zaprasza nas i pokazuje jacht w środku.

Co chwila wpływają do zatoki katamarany z pasażerami, głównie ze statków stojących w pobliskim Castrie. Robią one kółeczko w zatoce i wracają bez zatrzymania i wychodzenia na brzeg. Widać, że business się tutaj kręci, chodzi tylko o pokazanie przereklamowanej sławnej zatoki i skasowanie odpowiedniej kasy.



Kolejnym często odwiedzanym przez turystów miejscem na Wyspie St. Lucia jest Zatoka Soufrierie Bay. Patrząc z góry wygląda ona bardzo kolorowo, osłonięta jest górami i wydawałoby się, że jest to spokojne miejsce, ale nie dla nas jak się później okazało.



Wpływamy do zatoki, ale podmuchy wiatru spadającego z gór odbijanego dodatkowo przez wznoszący się szczyt góry Piton, charakterystycznej dla Wyspy St. Lucia, dochodzą do 30 węzłów. Na bojkach stoją jachty, które podskakują na fali. Wpływamy do końca zatoki i rzucamy kotwice na głębokości 2 m przy samej piaszczystej plaży. Jest tutaj cicho i spokojnie.



Na brzegu jest duży pomost dla małych łódek i ładnie zadbane bulwary. Duże statki wycieczkowe nie wpływają tutaj, ale za to mniejsze bardziej ekskluzywne rzucają kotwice na środku zatoki.



Pasażerski żaglowiec „Star Clipper” z trzema setkami pasażerów wygląda tutaj bardzo okazale. Pasażerowie z niego dopływają dużą szalupą statkową do pomostu w miasteczku i wychodzą na ląd. Widzieliśmy go wczoraj w Marigot Bay, tam też pasażerowie z niego mogli wychodzić na ląd nie tak jak wycieczki katamaranami z olbrzymich statków, dla których czas naglił. Widać, że ma się to, za co się płaci.

Największe naturalne atrakcje turystyczne na wyspie są zlokalizowane w tej okolicy. Jedziemy taksówką razem z pasażerami ze „Star Clipper” o oglądamy je.



Aktywny wulkan, z którego stale wydostaje się gorąca para o silnym zapachu siarki.

Wygląda imponująco i nasuwa się pytanie, jaką potęgę ma siła natury? W innych miejscach widać źródelka, z których wypływają strumienie z gorącą wodą, też z zapachem siarki.



Wodospad „Diamond Waterfall” może jest ciekawy, ale dla nas z Kanady gdzie jest Niagara i niezliczone wodospady w okolicach Vancouver i całej naszej prowincji Brytyjska Kolumbia, nie wygląda dla nas imponująco. Można by kąpać się pod nim, ale taksówką nie będzie na nas czekać.

Wieczorem podpływa do nas portowy „Ranger” i najpierw tłumaczy, że jest tutaj zakaz kotwiczenia i nie możemy stać w tym miejscu, bo rano lokalni rybacy będą łowić ryby. Każe nam przenieść się na płatną bojkę. Kiedy zgadzamy się odpłynąć to okazuje się, że ewentualnie możemy stać tutaj, ale też za kotwicę trzeba płacić i rybakom wcale nie będziemy przeszkadzać? Chodzi po prostu o płacenie. Janek argumentuje, że na mapie jest tutaj zaznaczone kotwiczowisko, stał tutaj dwa miesiące temu i nikt nie mówił mu o takich zakazach kotwiczenia. Niestety z taką lokalną władzą nie można dyskutować i przenosimy się na boję. Całą noc ciężko usnąć, bo wiatr wieje ponad 20 węzłów i rzuca jachtem na fali.

Rejs zbliża się do końca i musimy ruszać dalej. Lewą burtą mijamy okazałe dwie góry Pitony, które całkowicie zasłaniają wiatr. Trochę niższy Petit Piton przy południowym końcu zatoki i kawałek dalej Gros Piton. Żagle zwisają i trzeba płynąć na dwóch silnikach.

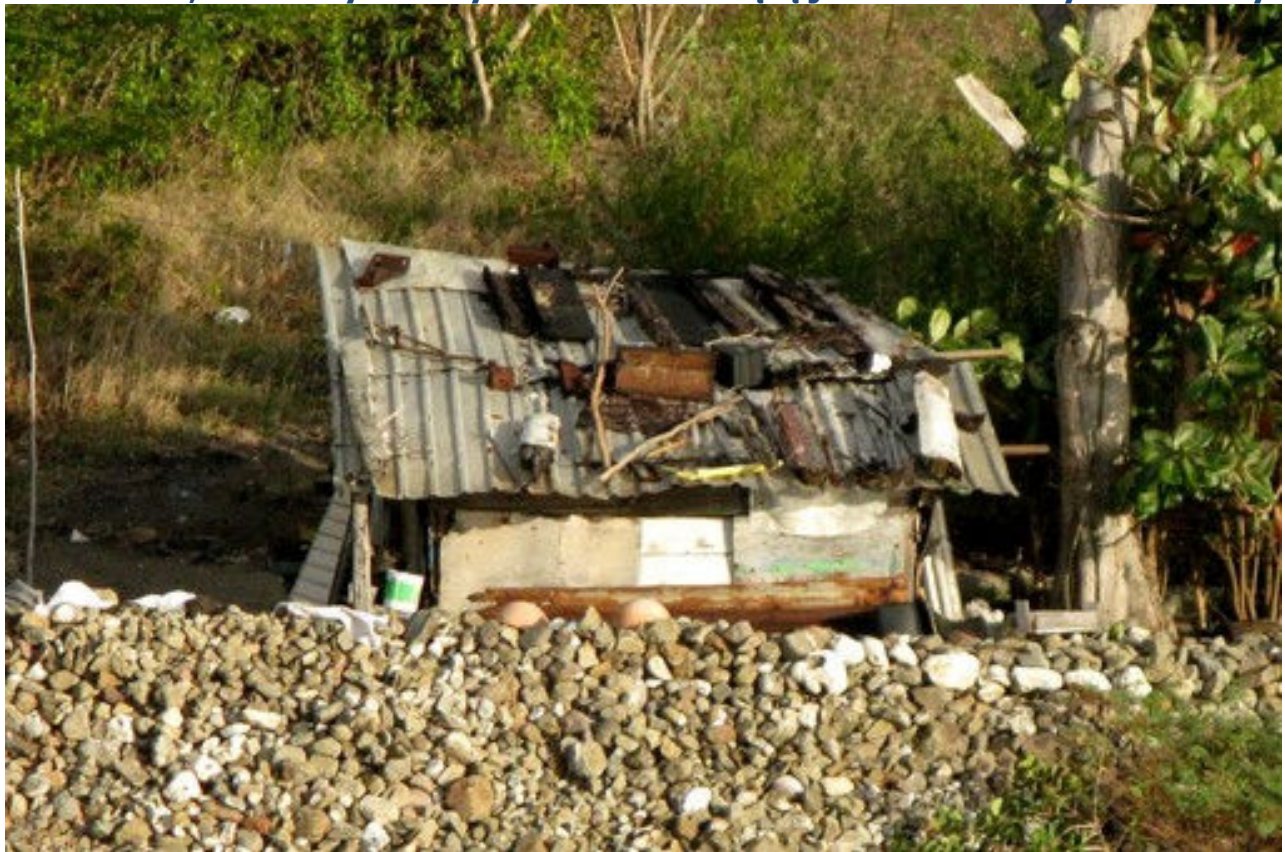
Po minięciu tych gór i cypla, za którym brzeg jest wzdłuż kierunku wiatru pasatowego dostajemy silne podmuchy do 30 węzłów. Wysoka fala rzuca nasz katamaran na wszystkie strony. Na grocie pokazuje się małe rozdarcie, więc lepiej go opuścić żeby cały nie podarł się. Na samym foku nie daje się płynąć pod taki wiatr a wracanie do zatoki nie wchodzi w rachubę, bo samolot powrotny do Vancouver nie będzie na nas czekać.



Podpływamy bliżej brzegu. Mijamy małe wioski na brzegu i wysoki klifowy brzeg z ciekawie wyżłobionymi wzorami.

Wpływamy do porciku Vioux Fort położonym na południowym cyplu Wyspy St. Lucia, ale tutaj niezbyt jest miejsce dla odwiedzających jachtów i wszyscy stoją na kotwicach.

Rzucamy kotwicę w wydawałoby się zacisznym miejscu, ale później kilka razy trzeba zmieniać miejsce kotwiczenia, bo wiatry z różnych kierunków kręcą jachtem na wszystkie strony.



Stajemy obok ciekawej chatki lokalnego rybaka. Bardzo skromnej z dachem ze starych blach i innych śmietnikowych materiałów, ale za to obok ma on ładny hamak do wypoczywania i całe gospodarstwo.



Ostatni wieczór, ostatni zachód słońca i ostatnia okazja do zrobienia pożegnalnego zdjęcia. Podczas trzech tygodni żeglowania odwiedziliśmy 4 państwa, 7 wysp i 14 miejsc. W sumie prawie 350 mil morskich.

Osobiście byłem wielokrotnie na Karaibach, ale zwykle na dużych statkach pasażerskich albo w ośrodkach wakacyjnych i hotelach. Poznanie tego rejonu z pokładu niedużego jachtu było dla mnie całkiem innym doświadczeniem.

Ogólnie mówiąc jestem bardzo zadowolony z rejsu, ale trochę rozczarowany tym co zobaczyłem. Wiatry na zawietrznym brzegu były często bardzo silne i uciążliwe. Kotwicowiska najczęściej zbyt eksponowane na wiatr falę. Brak miejsca w marinach albo ceny za postoje bardzo wysokie. Większość ciekawszych miejsc jest bardzo komercyjna. Ludność, szczególnie na biedniejszych wyspach St. Vincent i St. Lucia jest uciążliwa z pytaniem o pieniądze i oferowaniem usług, od których ciężko opędzić się, np. pilnowanie przy pomoście dinghy, wskazanie drogi, fotografowanie itp.

Cały rejon jest bardzo zapchany jachtami, głównie katamaranami czarterowanymi na Martynice. Ze wszystkich odwiedzonych wysp najbardziej spodobała mi się Martynika, na którą chętnie wróciłbym ponownie.

Porównując do żeglowania w moim rejonie, Kanada i Alaska nad Pacyfikiem to wybrałbym zdecydowanie domowe pływanie. Nie, dlatego, że tu mieszkam, ale pod względem żeglarskim i nawigacyjnym jest ciekawiej. Przede wszystkim pusto i bliższy kontakt z naturą niezniszczoną komercyjną działalnością.

Karaiby jedynie przewyższają gorącym klimatem i możliwością kompania się w każdym miejscu, czego w Brytyjskiej Kolumbii i na Alasce nie zawsze można robić. Ciekawe są też pod względem turystyki lądowej i lokalnego folkloru, co nie jest związane wyłącznie z żeglowaniem na jachcie.

Zobacz filmy z tego rejsu: <https://www.youtube.com/playlist?list=PL4FF565DD6FA21613>